



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pisma peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80, półrocznie rub. 3 kop. 60; rocznie rub. 7 kop. 20; z 20 tomami rub. 9 kop. 20, w oprawie rub. 12 kop. 20. Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50, z 20 tomami rub. 13 kop. 20, w oprawie rub. 16 kop. 20. Cena numeru pojedynczego kop. 0.

Pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.

Ekspedycja Główna ulica Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zhr. 8; na prowincyi z przesyłką pocztową zhr. 8 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zhr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zhr. 8 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk., z przesyłką pocztową 4,30.

Co się dzieje?

Rzucono nam na szalę losów naszych Brennusowy miecz *vae victis*... Odsądzono od używania pełni praw obywatelskich w nowokształtującym się ustroju państwowym, nas — obcoplemieńców, — to jest Baszkirów, Kałmuków, Czeremisów, Meszczeryaków, Czuwaszów, Tunguzów, Samojedów i Polaków... W kłęczącym się zwolna przybytku Zgody dwóch poróżnionych odwiecznie ludów pokazano nam drzwi, mówiąc: „pilnuj swego nosa, nie cudzego — budżetu” i t. d., i t. p.

My na to zrazu burknęliśmy coś o psie i ciśniętym ochłapie, potem stuknęliśmy parę razy w palce: podnieść nie podnieść? nakoniec, jednomyślnie prawie, powiedzieliśmy sobie, że fałszywa to godność, która cofa się z wyłomu, dlatego, że ciasny — i oto podobno pójdziemy do trzeciej urny taką dużą gromadą, jakiej jeszcze nie bywało, i jest też silne prawdopodobieństwo, że tym razem nie będziemy sobie po nogach deptać i wzajemnie ze szranków się wypychać, lecz odłożywszy na później dalsze sporne kwestye, najbliższą kwestyę zgodnie na drodze wzajemnych ustępstw załatwimy.

Niema złego, coby na dobre nie wyszło.

A więc znów za kilka tygodni *bis repetita i da capo al fine*, ale finał chyba już tym razem będzie inny. Do trzech razy sztuka — i dramat dziejowy przerodziłby się w tę piosneczkę, którą bony francuskie dzieciom śpiewają:

„Il était un petit navire, il était un petit navire.
Qui n'avait ja-ja-ja-jamais navigué, qui n'avait ja-ja-ja-jamais navigué...”

Statek wypływa na morze, doznaje różnych przygód, ale nim przybył do kresu, następuje raptem zwrotka:

„Si cette histoire vous embête, si cette histoire vous embête,
Nous allons la-la-la-la recommencer nous allons la-la-la-la recommencer...”

I znów od początku:

„Il était un petit navire...”

I znów przy końcu:

„Si cette histoire vous embête...”

I tak aż do skutku, póki dziecko nie usnie Tymczasem, nim nadejdzie Wrzesień, przynosząc po trzykroć odgrzewany bigos przedwyborczy — i nieodłączne od niego różne gorzkie przyprawy, tymczasem niech kto żywo co żywo opuszcza tak zwany gród Syreni, aby na tak zwanem łonie natury wytchnąć z siebie całoroczny śmietnik dymu, kurzu, węglanu, miazmatów, bakcyliów, trwóg, zgryzot i niepokoju, aby serce orzeźwić, nerwy ukoić i żołądek uregulować.

Tutaj na wsi, — na tej prawdziwej, nie tamtej podmiejskiej, — tak czysto i prosto, tak świeżo i zdrowo, tak cicho i spokojnie, że po tem wszystkim, co się tam przeżywało, aż dziw zdejmuje, iż jeszcze tak bywa gdzieś na świecie. Tutaj czasem nawet deszcz nie pada (co także jest dziwem w obecnem lecie), a gdy wysokie słońce śródletnie błysnie w całym splendorze na szafirowej głębi przestrzeni, gdy zaszleści bogata gęstwa leśna, zaszemrzą łęgów kwietne kobierce, gdy łono ziemi ciepłym oparem dysze, a przemnogie narody uskrzydłych i bezskrzydłych tworów roją się w smugach słońca, brzęczą w trawach, dzwonią wśród drzew listowia, upijając się do niepamięci rozkoszą życia przy biesiadnym stole przyrody... Nie! pióro nie skreśli, pendzel nie odtworzy tej pełni krasy matki naszej natury, którąśmy wygnali z miast naszych, a do której biegnie dziś za miasto choć raz do roku, każdy, kto może.

Niestety! nie każdy może!..

Ach! gdzież i kiedy stanie nareszcie pierwsze *miasto przyszłości*?

Miasto owo będzie zbudowane przez takich ludzi, którzy zrozumieją nakoniec, jak kolosalnym nonsensem jest dbać o życie nade wszystko, a pełnić codziennie, stale i świadomie cały szereg czynności samobójczych.

Wszak wiemy dobrze, że każde odetchnienie złem powietrzem, każdy kęs spożyty nie w porę i nie w miarę, każdy ruch zbyt teczny lub niedostateczny, każdy niedobór i każde nadużycie — to są dawki trucizny powolnej ale niezawodnej, którą systematycznie zażywamy. Wiemy, że gdybyśmy wiedli życie normalne, żylibyśmy tyleż, co każdy inny

twór kręgowy i ssący, to jest czterokrotnie pomnożone lata pełnego rozrostu, co dla gatunku *homo*, z niezasłużonym określeniem *sapiens*, wynosi: $4 \times 25 = 100$.

Otóż ludzie przyszłości którzy konsekwentnie z przydomkiem *sapiens* założą pierwsze *miasto przyszłości*, urządzią się w niem według takiego mniej-więcej planu:

Żaden dom z innym domem nie może stykać się wspólną ścianą. Wszystkie wielopiętrowe, licznymi windami zaopatrzone kamienice stoją wśród wolnej przestrzeni, kilkakrotnie rozmiar ich podstawy przenoszącej. Te wolne przestrzenie pomiędzy domami są gęsto zadrzewione, przeważnie owocowymi drzewami, których musi być tyle, aby wszyscy lokatorowie mieli owoców, ile spożyć zechcą. Dziedzińce zawsze zewnętrzne, od frontu kamienic okolonnych werandami — są to właściwie kwietniki, poprzerynane chodnikami, które obrzeżają krzewy. Miasto jest ogrodem, a ogród miastem, mieszkańcy zaś tego Edenu zyskują to wszystko, czego brak dzisiejszym miastom — a nie tracą nic z tego, co nam dziś dają miasta. Bowiem rozszerzenie przestrzeni zwiększające odległości, znihilizowane zostało przez równomierne z tem udoskonalenie lokomoty.

Każdy mieszkaniec miasta, nawet *względnie* najuboższy (*bezwzględnie* ubogich naturalnie wówczas nie będzie), posiada własnego mechanicznego konika, w postaci parowego, elektrycznego, czy innego motoru, dzięki któremu łatwo i szybko przebywa znaczne przestrzenie. Wypadków przytem nie bywa, bo każdy wehikulik zaopatrzony jest w wystające piłki gumowe, dzięki którym, przy zderzeniu, pasażerowie tylko od siebie elastycznie odskakują, — i ukłoniwszy się sobie wzajemnie ruchem ręki (bo niehygienicznego odkrywania głowy naturalnie nie będzie) — pędzą dalej, każdy w swoją stronę.

Kto woli lokomotyę napowietrzną ten posiada uwiązany u krat balkonu balonik, którym sobie ze swego okna kiedy chce wyfruwają i śmigają, jak jaskółka po nad wierzchołkami drzew i szczytami gmachów grodu-ogrodu, leci w podmiejskie lub zamiejskie okolice.

Kurzu i dymu w powietrzu miejskiem ani

śladu. Ulice wszystkie w godzinach porannych skrapiają stróże miejsca bezwoną petroleiną, do której lgnie każdy atom pyłu, wieczorem zaś ciż stróże zamiatają starannie atmosferę. Baloniki ich, opatrzone skrzydłatymi wentylatorami okrążają dachy domów i kominy fabryk podmiejskich (śródmiejskich fabryk naturalnie nie będzie) i prądami sztucznych wichrów rozpędzają w dal wszystkie lotne produkty spalania.

Czystość, świeżość, zdrowotność tak utrzymywanej atmosfery nie pozostawia nic do życzenia, i doskonale się w niej chowa wesoła działość którą się widzi o każdej porze roku, przez znaczną część dnia bawiącą się, lub ręcznie pracującą w ogrodach i na dziedzińcach obowiązkowo otwartych dla dzieci wszystkich lokatorów danej kamienicy.

Podobnie wszelkie inne warunki życia są w mieście przyszłości uproszczone i oczyszczone z tych skażeń, jakie z biegiem czasu pozbawiły miasta zdrowotności wiejskiej.

Sztuczność życia, przerafinowanie i wykorzystanie jego przyrodzonych wymogów, zastąpiono umiejętnym prymitywizmem, dzięki któremu człowiek może zarazem używać rozkosznych owoców cywilizacji i egzystować moralnie, to jest — nie zatruwać sobie krwi, nie targać nerwów, nie brudzić ciała.

Wszystkie zaś te dobroczynne zmiany nie zostały wprowadzone przez jakieś prawa drakańskie, jakiś despotyczny przymus: wprowadziła je stopniowo—delikatnie, łagodnie—wciąż podnosząca swój poziom i rozszerzająca swoje kręgi kultura. Z biegiem Czasu i Postępu powstawały coraz częstsze i coraz gęstsze instytucje, zakłady, stowarzyszenia, mające na celu przeciwdziałanie zarówno fizycznej degeneracji, jak i moralnej deprawacji człowieka współczesnego. Normalny i prawidłowy rozwój jego psychofizycznych właściwości zyskiwał coraz gorliwszych apostołów i coraz liczniejszych zwolenników, aż

przyszedł czas, w którym z powrotem patryarchalnej prostoty powraca mistyczny wiek złoty...

„Śpiewają wieszcz—tańczy dziewic grono
Marzyłem cudnie—srodze mię zbudzono...”

Nie na tyle jednak „srodze“ budzi rzeczywistość z marzeń o przyszłości, aby nie można było zauważyć silnie zaznaczającego się zwrotu w kierunku sprymityzowania naszego nad-skomplikowanego żywota.

Jako ilustrację do tego zwrotu zalecam czytelnikom korespondencję p. t.: „Szkoła zdrowia w Kosowie“*). Opisany w niej system przeciwdziałania psychofizycznemu zwyrodnieniu się naszemu zasługuje na uwagę, jako jeden z aktualnych przedwiestników nowego prądu w kierunku upierwotnienia obecnego naszego trybu życia.

J. Terpiło.



MARYAN GAWALEWICZ.

BEZ CELU.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

IV.

Rewizya u Chronieckich narobiła w pierwszej chwili sporo hałasu w mieście; znaleziona bomba i broń nadawały temu wypadkowi poważniejszego znaczenia.

Spodziewano się, że nastąpią bezpośrednio liczne aresztowania, zwłaszcza w najbliższych sferach, otaczających Chronieckie-

*) Korespondencję wyżej wspomnianą podamy w numerze następnym. (Przyp. Red.)

go; wiadano, że nie wyda nikogo przy śledztwie, chociażby go torturowano, nie mniej obawiano się następstw dokonanej rewizyi.

W Romie nadspodziewanie mniejsze sprawiło to wrażenie, aniżeli przypuszczać można było; z tego rodzaju wypadkami osławiano się tam bardzo szybko.

Gdzie drzewa rąbią, tam drzazgi lecą,—powtarzano sobie z rezygnacją i prowadzono dalej „robotę“ z trochę większą czujnością, ale jeszcze ryzykowniejszą.

Po uwięzieniu Chronieckich nastąpiła jednak wbrew wszelkim przewidywaniom wielka i tajemnicza cisza.

„Skompromitowani“ nie umieli sobie jej wytłómaczyć.

— Co to ma znaczyć? — wypytywano się wzajemnie.

Przy spotkaniu z jakimś wyrazem przyjemnej niespodzianki witano się:

— Was jeszcze nie zabrali?... A rewizya u was już była?..

Sewerka Strzałkówna oczekiwała co chwila, że ją zawezwą do cyrkułu przynajmniej, albo do policyi, jeżeli nie do żandarmów i przygotowana była na najgorsze następstwa; mimo to dzień za dniem mijał, a spodziewane niebezpieczeństwo nie nadchodziło!

Niepokoilo ją to i denerwowało jeszcze mocniej.

Bronia odchorowała rewizyę u szwagra i musiała przez kilka dni w łóżku leżeć, a Jerzyk, zabrany przez ciotki pod opiekę po uwięzieniu rodziców, zmienił się tak bardzo, że zachodziła obawa, iż dostanie zapalenia mózgu, albo nabawi się jakiejś choroby nerwowej.

Całemi godzinami siadywał on teraz nieporuszony z wyrazem zaleźnionym i tępym wzrokiem patrzył przed siebie, marszcząc blade czółko, jak gdyby w tej małej głowinie jakieś duże, twarde myśli klinem

Przez ma lornetkę.

(FELJETON TYGODNIOWY).



Co jest emanacja...

Echa letnie a nasza prasa...

Kolumbowie Truskawca...

Historja o czynowniku i prosięciu...

Baedecker a Towarzystwo Tatrzańskie...

Gdzie leży pech Zakopanego...

Wicie, co znaczy styl jasny?... Oto próbka. Na jednej z wszechnic galicyjskich głębokoko uczony profesor filozofii wykladał:

— Uniwersalna, moi panowie, z metafizycznego wszechświata wypływająca, emanacja jest owym transcendentalnym substraktem, w przeciwieństwie do którego empiryczne badanie i konkretna subiektywność indywidualizmu oraz abstrakcyjnej obiektywności do idealnej harmonii w drodze dedukcyjnej nawzajem się amalgamują i a priori do konkluzji dochodzą finitywnej, że ekspansywność autokratycznej kazuistyki i intelektualności so-

fizmatycznych dogmatów w drodze nie koliduje...

Tak jasno i poprostu uczony ów mąż wytłómaczył młodzieży znaczenie emanacji. Tak też wykładając, miał zresztą najgłębsze przeświadczenie, iż „nieci światło“ w sercach swych słuchaczy. Boć przecie „filozofia“, to nauka, ucząca mądrości życia. A że mądrość jest siostrą prostoty, więc jej apostoł przedmiot swój z całym zapałem... zaciemniał. Najpewniej mniemał, iż w ten sposób idee swe opromienia nimbem tajemniczości. A on je tylko na piedestale niedostępności stawiał...

Tego systemu trzyma się z nadzwyczajną starannością na całej niemal linii prasa pewnego prawie milionowego miasta w Królestwie Polskiem. Jakiś jej wróg zdecydowany (najpewniej...) powiedział, złośliwie zresztą ogromnie, że niema tak prostego przedmiotu z bieżących zagadnień, któregoby dzienikarz warszawski nie potrafił zaciemnić...

Ująłem się z miejsca za tak sponiewieraną instytucją wszechspołeczną...

— Śledziennik z pana — powiadam, — czy nie zdarza się i w naszych pismach wycytać rzeczy zajmująco napisanej a treściwie...

— Przyznaję, „zdarza się“, ale bardzo rzadko, na ogół prasa ta prowadzi się tak, że gdyby gdzieś rozpisano konkurs, jak się *nie* powinno redagować pism codziennych, prasa tutejsza wzięłaby na nim pierwszą nagrodę...

— To już przesada karygodna...

— Wcale nie, ja to panu bliżej wyluszcze.

Tu rozpoczął pan ów długi wykład na temat, jak się prowadzi nasza prasa, którym w rezultacie przekonał mnie nie co do tego iż pisma nasze są istotnie tak niemożliwe ale że w danych warunkach prawie wszystkie mogłyby być bez porównania lepszymi. Co najważniejsza przekonał mnie, iż wielu z pism byt nie jest tak ugruntowany, iżby obawiać się ono nie potrzebowało pierwszego nowego konkurenta, jaki się pokaże na horyzoncie. Okazuje się, że taki konkurent ma zawsze nowe atuty do wygrania wobec publiczności, o których to atutów zdobycie lub wymyślenie pisma dawne ani się starały... Zdawałoby się np., iż jest tyle pism codziennych u nas, że już mowy niema, iżby „jeszcze jedno“ utrzymać się mogło, tymczasem, ot, niedawno, pokazało się „nowe“ i zaczyna podobno prosperować...

wcisnęły się do mózgu i pomieścić się w nim nie mogły.

Nie chciał rozmawiać z nikim i zdawał się nie rozumieć, co do niego mówiono.

— Ja czekam na Puńcia,— odpowiadała na zapytanie, co robi?

O matce nie wspominał ani razu.

Z początku starano się ukryć przed nim rzeczywistą prawdę i ludzi go w dalszym ciągu, że ojciec wyjechał na krótko, ale że powróci, wszelako instynkt rozwiniętego nad wiek dziecka objaśniał go lepiej i dokładniej.

Siedząc przy łóżku chorej Broni zamysłony, odezwał się nagle głośno, jakby wołał do kogoś:

— A przecież te rewolwery nie nasze!... Puńcio nawet nie wiedział o nich i to ja mu dopiero powiedziałem!...

Potem, jak gdyby sam się własnego głosu przestraszył, poczerwieniał i zakrywając sobie buzię obiema rękoma, wcisnął się w sam kącik za fotelem i cichutko płakać zaczął.

Z jedynym Lebickim poufalił się najbardziej i wychodził sam do niego, gdy odwiedzał Bronkę; brał go za rękę, spoglądał mu w oczy i zapytywał:

— Co tam słyhać, towarzyszu?...

Używał tego wyrażenia, którego się nasłuchiwał w domu i u ciotek, nie wiedząc dobrze, co ma właściwie znaczyć taki tytuł.

Sokolik sadzał go sobie na kolana i całował w głowę, co musiało chłopcu przypominać ojcowskie pieszczoty, bo się do niego tak samo przytulał i nie pozwalał mu wstać, mówiąc:

— Proszę cię, nie idź jeszcze, zostań!.. mnie u ciebie najlepiej. Po co się masz spieszyć?... Mój Puńcio nigdy się nie spieszył i czekał, aż ja zasnę u niego na kolanach.

Lebicki przynosił najczęściej Strzałkówom wiadomości z miasta i razem z siostrą

załatwiał wszystkie polecenia Sewerki; przez wywiadowców partyi i stosunki Łańskiego dowiadywał się o sprawie Chronieckich i o przebiegu śledztwa.

Pierwszy oznajmił im, że oboje zostali przewiezieni z Ratusza do Cytadeli, a następnie dostarczył szczegółów, dotyczących osobistości sędziów, którzy mieli sobie powierzoną sprawę.

Szczegóły te były niepokojące.

Śledztwo spoczywało w rękach ludzi ostrych, przebiegłych i surowych, do których nie było dostępu z żadnej strony; należało też przewidywać, jak najgorszych wyników sprawy.

Pewnego dnia Lebicki przyszedł do Strzałkówien zmieszany i aż blady ze wzburzenia, nie chciał im wyznać powodu swej irytacji, ale nie mógł ukryć tego, że spotkało go coś bardzo przykrego i zmąciło mu równowagę umysłu.

— Ja wam to Broniu kiedyś, chociaż z największym wstydem i upokorzeniem opowiem, — szepnął młodziej Strzałkównie, gdy ich Sewerka na chwilę zostawiła samych w pokoju, — ale tymczasem *błagam was, nie nalegajcie!... dajcie mi wytchąć.

Ścisnęła go za rękę i spojrziała na jego zatroskaną twarz z niepokojem.

— Powiecie ze wstydem? — spytała, — dlaczego?... chyba nie zrobiliście wy nic złego?...

— Tu nie chodzi o mnie osobiście.

— Tylko o kogo innego?... tak?...

Skinął głową z przymusem, a ona pocziwie uśmiechnęła się do niego i rzekła:

— No, to już dobrze; to się nie martwię.

Tego dnia wydarzył mu się wypadek, który wydał mu się upokarzającym, tem bardziej, że świadkiem jego był Łański.

Przechodzili obaj ulicą Królewską, gdy nagle skręcając ku Nowemu-Światu, natknęli się niespodzianie na starego Lebickiego, za-

jętego ożywioną rozmową z jakimś wojskowym w szynelu i oficerskiej czapce.

Zeus trącił Edmunda nieznacznie łokciem i szepnął kącikami ust:

— Uważaj!... Marajew!

Nazwisko to objaśniło Sokolika od razu o danej osobistości.

Sędzią śledczym w sprawie Chronieckich był właśnie pułkownik Marajew, ten sam, z którym ojciec jego teraz rozmawiał wesoło, z miną pełną kurtuazji i zadowolenia, jak gdyby przed całym światem chciał się pochwalić znajomością z tak ważną i wpływową figurą.

W pierwszej chwili Sokolik doznał takiego uczucia, jak gdyby mu w same oczy buchnęła gorąca para i całą twarz oblała warem!

Poczerwieniał po same białka i już chciał się wymknąć w bok niepostrzeżony, aby uniknąć w takiej chwili spotkania z ojcem, kiedy papa Lebicki dojrzał go, ujął za ramię, przytrzymał w miejscu i uradowany, zawołał na cały głos:

— Ach, to ty?... jak się masz, kochany chłopcze!... Niebo cię sprowadza, — a odwracając się do towarzysza, z afektacją dodał po rosyjsku:

— Pozwolisz pułkowniku, że panu przedstawię mego jedynaka?...

Marajew obrzucił młodzieńca bystrem spojrzeniem i dotykając po wojskowemu czapki prawą ręką, skłonił lekko głowę ze słowami:

— Bardzo przyjemnie!..

Edmund stanął jak wryty, zmieszany, zaczerwieniony, bezradny i zaskoczony tak niespodziewanie prezentacją, znalazł się w położeniu bez wyjścia; nie wiedział, co począć ze sobą.

Zaszumiało mu w uszach, oczy spuścił, brwi zmarszczył i miał minę tak nieosobliwą, że wobec niej wszystkie pochwały, któ-

— Lecz to już chyba koniec bieżącej ich seryi?...

— Bynajmniej... Mam wiadomość i pewność, iż maluczko, a zjedzie do Warszawy ze Lwowa jeszcze jeden wydawca już z gotowym a nowym typem pisma, co ciekawsza, już z gotowym swoim sztabem współpracowników...

— Niech przyjeżdża, próbuje, ale to śliski eksperyment. W tak silnie zwartym ścisisku pism już się chyba nie zmieści... nowicyusz..

— Zobacz pan, że się zmieści... Byle nie leciał na „jasny ton“ owego profesora filozofii... Publiczność zawsze poprze pismo, które jej da szybkie i z pierwszej ręki pewne informacje, a formie podawanej treści zapewni ciętość, treściwość, konieczny procent błyskotliwości i przejrzystości w układzie, a przede wszystkim smaczny „wygląd optyczny“, tak ceniony przez czytelnika.

— Wszystko to pięknie, ale czy ten nowy przybysz zdoła jednak się „zmieścić“ w falandze dawnych konkurentów?...

— Gdy tylko będzie umiał i „wart“ będzie tego, „zmieści się“ z pewnością. Słyszał

pan historyjkę o pewnym czynowniku z gubernij Samarskiej?... Doskonała. Czynownika tego w pewnym domu chciano uraczyć po królewsku, a przy tej sposobności zażartować z niego troszeczkę. Bo oto po skończonym obiedzie, kiedy gość już był tak przejezdzony, iż przysięgał, że nawet za order Włodzimierza jużby ani okruszyny nie tknął, wniesiono naraz na stół przepysznie upieczone prosię. Czynownik był w rozpacz. Takie prosię, całe bajecznie upieczone i podane przepysznie, to było coś po nad jego siły... Jakże się doń nie zabrać. A tu przysięgał przed chwilą. Do tego ironiczne spojrzenia, mierzące go naokoło. Lecz czy godzi się darować takiemu prosięciu?... Więc niepoprawny żarłok, przysuwając je pożądliwie ku sobie, tak przy tej sposobności przemówił: „Był odpust w pewnej cerkwi. Ludu zebrało się wewnątrz tyle, że omal mury nie rozpekały. Szpilki, zdawało się, już nie wetknąłbyś... Gdy wtem nadjechał generał-gubernator!.. I ot... W cerkwi, gdzie jeszcze przed chwilą nawet szpilki, zdawało się nie wetknąłbyś, w jednej chwili od drzwi aż do ołtarza tak wygodny otworzył się szpaler, że generał-gubernator mógł nim przejść swo-

bodnie. Tak i z takim prosiakiem. Zdawałoby się, że już niczego nie ugryziesz, aż oto...“

Tu oddał się mówiący z całym zapalem prosięciu.

Co do mnie, to naprawdę bynajmniej tak srogim Zoilem na temat doskonałości naszej prasy nie jestem. A jeśli nie zdarzyło mi się w naszej prasie wyczytać artykułu, dajmy na to w kwestyi przemysłu naszego, czy robotniczej i t. p., napisanego treściwie, zajmująco i wdzięcznie, to najpewniej było to winą mojego niedopatrzania. Cóż kiedy artykuły tak aktualne i nadające się do wdzięcznego obrobienia, jak echa z letnisk, zdrojowisk i uzdrowisk, były w naszych pismach tak rzadkie do oglądania, jak rozsądek u naszych agitatorów robotniczych. Jeśli się już z nimi nawet gdzie spotkało, to tonem i formą obrobienia stylistycznego przypominały często kanarka, śpiewającego na grzbiecie słonia.

Te wszystkie przytem informacje pism o naszych zdrojowiskach krajowych... Pożal się Boże! A już o galicyjskich zdrojowiskach, gdzie przecie 30% kuracyuszów rekrutuje się z Królestwa, prawie, że się nie czyta. A jednak prasa nasza ma pretensye, że trzyma

remi właśnie obsypywał syna Lebicki, wydawały się gorzką ironią.

— Oto także ofiara nieszczęsnego chaosu i zaburzeń naszych — mówił Lebicki; — był na drugim kursie politechniki, kiedy zamknęły szkoły, cała karyera zwichnięta, pułkownik, cała przyszłość młodzieńca narazona. Okropność, nieprawdaż?...

Sokolik stał, jak na rozrzarzonych węglach; zdawało mu się, że trzymając go pod przegierzem, a własny ojciec odgrywa przy nim rolę kata i piętnuje go publicznie.

A Lebicki rozkoszował się własnym pomysłem, że ułatwił synowi znajomość z osobistością tak znaczącą i że mógł się pochwalić dorodnym jedynakiem.

Łański zrećźnie usunął się na drugą stronę ulicy i ztamtąd z zajęciem przypatrywał się tej scenie na chodniku, nie wiedząc, co to wszystko ma znaczyć.

Nie znając starego Lebickiego, nie umiał sobie wytłumaczyć tego spotkania i przez chwilę nawet zaczął się obawiać o dalsze losy swojego faworyta.

Z niecierpliwością oczekiwał powrotu Sokolika i wyjaśnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z czwartej seryi Poezyi.



Wietrze, powiedz chciej,
Gdy pomkniesz w moje strony,
Mej byłej narzeczonej,
Błękitnej pani mej,
Żem nie jest opuszczony,
Że jest mi teraz lżej!

I jeszcze powiedz jej,
Że nie mam żalu do niej,
Że serce łez nie roni,
Chociaż nikt łzy mi tej
Wypłakać nie zabroni,—
Nic więcej nie mów jej!

* * *

Tak bardzobym dziś pragnął przed kimś paść
[na ziemię

I wszystkie łzy wypłakać, te niewypłakane
I każdy ból odsłonić, każdą krwawą ranę,
Co w piersiach mych dla oka niewidoczna
[drzemie.

I wyznać każdą winę, każdy grzech junaczy
I wszystkie sny w obłądnej zrodzone zadumie
Przed kimś, co mnie serdecznie pojmie i zro-
[zumie

I nie potępi mnie -- lecz wszystko mi prze-
[baczy.

Zygmunt Różycki.



NIĘZBĘDNY PRZEDMIOT w nowej szkole.



Nowe czasy, nowe potrzeby, wytwarzają nowych ludzi; natura zmusza swe stworzenia dopasowywać się do warunków życia. Bywają jednak warunki niezmiennie, tak, jak konieczność spożywania chleba powszedniego, warunki, które obowiązują dziś, tak jak przed laty pięćdziesięciu; jednym z takich jest potrzeba radzenia sobie przy małych środkach i obowiązek uzbrajania dzieci w zapas wia-

domości, które w każdej okoliczności życiowej przydać się mogą i w każdej są niezbędne. Stosując się do warunków ekonomicznych, kobiety zdobywają wiedzę fachową. Mamy szkoły specjalne, z których wychodzą liczne zastępy korespondentek handlowych, buchalterek, mamy szkoły gospodarstwa domowego, przygotowujące fachowe gospodynie wiejskie i miejskie, ale po za tem każda uczelnia, bez względu na swój program, czy to specjalny, czy ogólny, powinna włączać doń naukę *niezbędną* kobiecie każdej, tak samo buchalterce, jak nauczycielce, naukę porządku, praktyczności, umiejętność zarządzenia otrzymanym od męża, czy też zapracowanym groszem. Może mi kto na to odpowie, że taką nauką jest samo życie, wynikające z niego doświadczenie. Tak bywa dotychczas. Ale dlaczego mamy koniecznie płacić *frycowe*, podatek od swego niedostatecznego przygotowania od swojej niepraktyczności? Jest-że to prawidłem obowiązującym? My, naród ubogi, mający tak mało do stracenia w warunkach zwykłych, a dziś jeszcze mniej niż kiedykolwiek, czyż mamy składać haracz z naszych ciężko zdobytych groszów na rzecz niezaradności, czyż na nią nie ma innej rady, prócz mozolnego i kosztownego zdobywania doświadczeń. Nie jest-że to zbyt-kiem, na który nam pozwolić sobie nie wolno, na który zresztą nie pozwalają sobie narody znacznie od nas zamożniejsze i dlatego, po części, zasobne. Wiadomo, że bogactwem państw i narodów jest praktyczność, oszczędność i zapobiegliwość jednostek. Cóż my widzimy u siebie?

W domach poniżej średniej zamożności, dzieci kosztem największych ofiar rodziców dzięki „odejmowaniu od ust“ całej rodzinie, a więc ze szkodą zdrowia, posyłane są do rozmaitych zakładów naukowych. Aby mogły swobodnie czerpać wiedzę, dziewczynki odsuwane są od wszelkich zajęć i kłopotów

rękę „na pulsie“ bieżącej chwili. Dość powiedzieć, że o szczegółach sensacyjnej katastrofy kolejowej pod Trzemesznem, oddalonem o ośm godzin drogi od Warszawy, publiczność nasza czytała w trzy dni po wypadku. I to się nazywa, że czytelnicy obsłużeni są po europejsku.

Niech się jednak potentaci „siódmego mocarstwa“ tem zbyt- nie martwią. I w naszym państwie Medycyny nie dzieje się lepiej. Mówi o tem ciekawy i charakterystyczny epizod. Oto spora grupa lekarzy z Królestwa miała temu miesiącu niespełna możność odegrania roli Kolumbów na punkcie odkrycia... Truskawca, zdrojowiska położonego w Galicyi wschodniej. U nas świat medyczny wiedział o Krynicy, Rabce, Rymanowie, Szczawnicy. Nad Truskawcem, którego wody zastępują nam Nauheim, Marienbad, Ems, Kissingen i Reichenhall, przechodzono do porządku dziennego, najpewniej z tego powodu, że o nim albo wcale nie wiedziano, albo też bardzo niewiele. I oto naraz kilkunastu tych lekarzy, którzy z racji odbytego niedawno Zjazdu lekarskiego we Lwowie, pojechali z wycieczką po zdrojowiskach galicyjskich,

znajduje się przy tej sposobności w Truskawcu, ogląda jego urządzenia lecznicze, bada zawartość wód, przegląda dane statystyczne, wyjeżdża zeń, nie znajdując poprostu słów podziwu dla jego skuteczności i mocy leczniczej. To też na przyjęciu, urządzonem dla tych oto lekarzy - wycieczkowiczów, d-r Sawicki z dumą podniósł, iż miał sposobność poznać zdrojowisko, które może przeciwstawić tak śmiało Nauheimowi lub Piszczanom, a d-r Raczyński, dyrektor Ciechocinka, z przynoszącą mu zaszczyt lojalnością, przyznał, iż niesłusznie uważał swoją 6% surowicę ciechocińską za najsilniejszą w Europie, bo oto skonstatował, iż surowica truskawiecka ma aż 24%!... Tak to raz jeszcze sprawdziło się, iż my sami nie wiemy, co posiadamy. Niemniej dobrze, iż dowiedzieliśmy się nareszcie, czem być może dla naszych chorych Truskawiec. Lepiej późno, niż nigdy. Co prawda to 3/8 winy spada na Zarząd Truskawca, iż tak niedużą wagę przywiązuje do reklamy słusznej i koniecznej.

Jeszcze z większym naciskiem trzeba to powiedzieć o naszym przecudnym Zakopanem, które ma jedynie ten „pech“, że należy do nas

Polaków, a nie do Niemców, Francuzów lub Anglików. My nawet nie pozwolimy na to by Zakopane stało się europejskiem. Kiedy temu pół roku zjechało tam konsorcyum angielskie i miało nadać Zakopanemu pokost europejski, uczynić zań punkt atrakcyjny turystyczny wielkoświatowy, gmina Zakopane postawiła mu takie warunki, że konsorcyum cofnęło się zniechęcone. Członkowie gminy zbyt obawiali się o swe zarobki, któreby się niechybnie dla nich zmniejszyły, gdyby obcy uauczyli nas, że za własne pieniądze można wzamian otrzymywać bez porównania więcej, niż to ma miejsce dotąd w Zakopanem, gdzie słynnie obdzierają żywcem ze skóry, a wygód ma się tyle, co pies napłakał.

Ale co nam to szkodzi... Nam nawet to snu nie odbiera, że we wszechświatowym Beadeckerze nasze cudne Zakopane, warte samo całego tomu, ma tam jakąś mizerną stronicę druku. A przecie istnieje Towarzystwo Tatrzańskie, które sobie pastawiło za cel naszymi Tatrami polskimi cały świat zadziwić. Smutne, że do tak prostej i nam należnej rzeczy jeszcze tak bardzo daleko.

M. Winiarski.

Marya Czesława Przewóska.

ELLEN KEY

w świetle postępowych dążeń ruchu kobiecego.

ORAZ

REFORMY WYCHOWAWCZEJ.

Zarys syntetyczny.



(Ciąg dalszy).

Żadna dobra zasada wychowawcza, żaden sens zdrowy, niedoktrynerski, nie może uprawniać katowskiej ręki wychowawczej do pozabawienia duszy dziecka tego czynnika rozwojowego, z natury najcenniejszego, do lekceważenia skarg jednego z najszczytniejszych dorobków kultury człowieczeństwa. Bez światłej kultury zmysłu religijnego nie wyrosnie doskonały człowiek, jako *pozbawiony jednego z najdoskonalszych nerwów rozwojowych*. Zaś taka procedura kastracji w wychowaniu odbywa się zawsze kosztem naruszenia w psychice ludzkiej podstaw w harmonii równowagi twórczej, przeto jest *zdezorganizowaniem* człowieczej jaźni, nie jej *kształtowaniem*.

Głęboki myśliciel amerykański, Emerson, jeszcze za czasów Mickiewicza, wygłosił w tym przedmiocie aksjomatyczną zasadę, że Człowiek jest z natury religijny, pierwiastek religijności tkwi w piersi ludzkiej, jak zarody owocu w roślinie.

Ze stanowisk powyższych widzimy, że zasada „bezwyznaniowości“ w wychowaniu, propagowana jako kierunek reformy postępowej, jest w istocie kierunkiem wstecznym, odnośnie do widoków pełni rozwoju duszy dziecka. Już Słowacki, cudnym instynktem genialnego intencjonisty ostrzega reformatorów przyszłości w słowach Mędrca, że „Kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy chce porządkować świat, często go łamie Bóg i myli go w drodze.“ Oczyma wieszczą sięgający w daleką przyszłość, zda się widzi ciężką chwilę obecnego przełomu, gdy w ekstazie wizjonisty, natchnionem słowem maluje nam taki obraz, niby żywcem schwycony z dni naszego zamętu:

„Godziny jakieś po otchłaniach były,
Ogromne, długie, smętne, nieprzebyte,—
Zarysy jakieś niepewne świeciły,
Jak twarze krwawe duchów łzami zmyte.

Wieniec związany z rzeczy przeklętych,
Lamp pogaszono tysiące świętych,
Pod jeden topór ludzkość się kładzie,
Zegary wszystkie stoją na zdradzie,—
Prac przenaświętych łamie się moc.—
O! wielka noc — o, wielka noc!

Więc woła: Czujmy! bo kur wnet zapieje trzeci,
Ciemności wiecznych anioł przeleci...“

(„Król Duch“).

„Czujmy, zaprawdę, mocno *Czuwajmy*, zwłaszcza tam, gdy idzie o dobro reformy wychowania młodzieży, aby siać nie plewę, ale zdrowe ziarno, w tę glebę wychowawczą, której plonem ma być lepsza przyszłość, ugruntowana na życia człowieczego *dostojeństwie*.“

Ze zdrowych ziarn postępu w systemie etycznych szkół Ameryki, na baczność uwagę zasługują metody wdrażania ducha religijno-

moralnego w duszę dziecka. Duch religijności kształtuje się tu przez odpowiednią kulturę religijnego kultu. Jednym ze środków są tu godziny wolne od zajęć szkolnych, poświęcone kontemplacji religijnej, w dalszym rozwoju podniosłości niezbędnej ku przeniknięciu w sfery nadprzyrodzone życia duszy. Ze stanowiska pedagogiki, będzie to kształceniem strony mistycznej religijnego zmysłu, pewnego rodzaju wtajemniczeniem w stany wewnętrzne duszy ludzkiej po szczeblach uświadomienia.

Oczywiście w takiej kulturze religijnego kultu musi być zachowany niezbędny stopień roztropności, chroniący przed kulturą ascetyzmu. To warunek niezbędny, aby nie wpaść z jednej ostateczności w drugą. Stosować to należy w całej rozciągłości szerokiej Kantowski system *równorzędnego kształcenia władz duszy i ciała* metodami pedagogiki racjonalnej, ufundowanej na wskazówkach *naukowej psychologii wychowawczej*. Od racjonalistycznych (co nie znaczy: racjonalnych) metod wychowania *pozytywistycznego*, mianowicie okresu myśli wychowawczej, przeskok to, oczywiście duży, w naszych dążeniach wychowania usprawiedliwiony wszakże jaknajpozytywniej interesem postępu.

Interesującym wysoce w metodach szkół etycznych jest system ćwiczeń praktycznych z zakresu *kształcenia Woli*. Ma to być kształtowanie ducha wolności na zasadzie *opanowywania się*, wykluczającego dążności do samowoli. Wysoka to zasada pedagogiczna, najbłędniej stosowana powszechnie w chaotycznych wskazaniach reformy wychowania, kultuwującej duchowy anarchizm (t. j. rozprężenie jaźni) na szeroką skalę.

W zakresie *wiedzy o duszy* widzimy tu cały system umiejętności do wielu wydarzeń przystosowanych *pogadank*. To „geografia dusz“, to najwdzięczniejszy zaiste, przedmiot wykładowy i najżywiej interesujący wychowawców. Światły pedagog prowadzi tu wprawna dłoń świat dziecięcy w nieznanym mu światy życia *wewnętrznego*. Są to ćwiczenia rozumowe, przy zasadzie wyrabiania samoistności sądu, na takie tematy, jak: przyzwyczajenia, nałogi, wady i zalety charakteru. Dziecko ma je umieć wyszukiwać w duszy własnej, jako też odnajdywać w drugich *na przykładach z życia wziętych*. Punkt oceny jest tu zawsze stanowisko etyczne, *ewangelicznie*: „Jakby Chrystus postąpił?“ Stosowanie szerokie zasady miłości bliźniego, miłosierdzia.

Wspaniałe zadanie wychowawcze! Cała olbrzymia, tyłoma chwastami naokół zarosła dziedzina pracy nad duszą dziecka, aby wyłonić z niej *światłego, dobrego, współczującego, szczerze kulturalnego człowieka*.

Oto jedynie postępowy ideał wychowawczy. A będzie to budowanie na gruzach kultur poganizmu wielkich gmachów, stawianych na „opoce“ *idei Chrystusowej*. Nie podmyją ich zaś fale barbarzyństwa, szerząc po świecie ból, jak oto dziś „naokół jest morze.“ (E. Orzeszkowa).

Wcielanie podstaw Ewangelii w życie, to budowanie fundamentów Sprawiedliwości i Światła. Tę drogę wskazuje nam i Mickiewicz wielki Duch Dobry naszego narodu: „My, wszyscy za lat sto, tysiąc, czy tysiące, woła

domowych; „będzie czas na to“ — mówią kochające matki, nie zdając sobie sprawy, że taką troskliwością czynią największą ujmę przyszłym pracownikom zawodowym, lub przyszłym gospodyniom domu. Dziewczynka nauczy się geografii, historii, rachunkowości, będzie umiała kształcić cudze dzieci, prowadzić cudze księgi, ale nie potrafi zarządzić własnymi dochodami, a jeśli wyjdzie zamaż — dochodami męża, nie potrafi utrzymać w domu porządku, ładu, nie potrafi oszczędzać a to nie tylko odkładając pieniądze zbywające od wydatków (co przy szczupłych dochodach jest trudnym, często niemożliwym), ale co ważniejsza nie potrafi oszczędzać wydatków niepotrzebnych, tak zarządzić gospodarstwem, aby nic się nie zmarnowało, aby nie nie szło na opłacenie haraczu niepraktyczności. Z czasem, po latach paru, po wyrzuceniu „za okno“ kilkudziesięciu, niekiedy kilku set rubli, taka niezamożna pani domu, lub pracownica biurowa na „własnej skórze“ nauczy się chronić od zbytecznych wydatków. Ale, powtarzam, czyż taki „nowicyat“ jest niezbędnym? Dlaczego tej nauki nie wyniosła z domu, który powinien być „praktyczną“ szkołą gospodarstwa; czemu nie miała sposobności uzupełnić jeszcze tej wiedzy w zakładach, w których ją uczono przedmiotów ogólnych lub fachowych?

Cokolwiek czeka młodą dziewczynę: praca samodzielna dla utrzymania bytu własnego, czy praca około podtrzymania bytu rodziny, jednego „przedmiotu“ musi nauczyć się koniecznie: sztuki zarządzania pieniędzmi, podziału ich w ten sposób, aby wystarczyło ich na wszystko, co jest koniecznym, sztuki „gospodarowania funduszami“, to jest umiejętności dostosowania potrzeb do dochodów, a środkami ku temu są różne umiejętności „fachu“ domowego, a więc szycia, naprawiania bielizny, odzieży, przyrządzania pokarmów, sprzątnięcia i t. p. Te umiejętności zdadzą się *każdej* kobiecie w każdej okoliczności, w jakiej ją życie postawi; czy to zmusi ją być samotną pracownicą, czy też pozwoli jej być osiłą, około której będzie się obracała — rodzina. Dlatego też pierwszym obowiązkiem domu i szkoły, jest uzbroić każdą dziewczynę w taki zapas wiedzy praktycznej. Nie można stosować przymusu w tym względzie do jednostek, wprowadzać tego programu do rodzin, ale można domagać się, aby nauka zajęć domowych, nauka zarządzania groszem, była obowiązkiem w uczelniach kobiecych wszelkiego typu, ludowych, średnich, wyższych, zawodowych, a to bez względu na istniejące i mające powstać szkoły fachowe gospodarcze, do których uczęszcza pewna, ograniczona liczba dziewcząt, kształcąc się specjalnie w tym *jednym* kierunku, zdobywając w nim najwyższe udoskonalenie. Tymczasem *wszystkie* dziewczęta w całym kraju, od najniższej do górnej warstwy powinny być obznajmione z elementarnymi zasadami tej wiedzy, bez której obejść się *żadna* nie może. Jak takie wykłady prowadzić, jak połączyć teorię z praktyką, nadtem, przy układaniu programu nowej szkoły polskiej, winno się zastanowić grono przełożonych i nauczycieli.

Eugenia Żmijewska.

w „Prelekyach,” musimy się stać w duchu i ciele podobni Chrystusowi!“

DOM WŁASNY.

Kiedys, dawno już, napisał Klemens Junosza obrazek p. t. „Pokój przy rodzinie”. Z nieporównanym humorem i darem obserwacji przedstawił nowelista, w formie barwnej, choć mało ponętnej, dzieje takiego nieszczęśliwego osobnika, który pozbawiony domu własnego, szukać go musiał u obcych „przy rodzinie”.

W czasach kiedy Junosza pisał tę nowelę, osobników takich było jednak jeszcze bardzo niewiele, ci zaś którzy istnieli, prowadzili to życie najczęściej tymczasowo, tylko—jakieś kilka lat pierwszej młodości, kawalerstwa, spędzali w ten sposób mężczyźni, kobietom mieszkać samotnie u obcych nie zdarzało się prawie nigdy.

Dziś zato, po kilkunastu zaledwie latach, warunki zmieniły się olbrzymio, dziś nietylko pojedyncze osoby, ale rodziny nieraz są zmuszone dla oszczędności zamieszkiwać w pensyonatach i pokojach umeblowanych, stołować się na mieście i t. p. W Ameryce zwyczaj ten panuje oddawna i młode małżeństwa np. ze sfer mniej zamożnych, pobrawszy się, mieszczą się w pensyonatach, zarabiając sobie na własne ognisko.

Rzecz prosta, że gdzie jest liczna rodzina, gdzie są drobne dzieci—system ten zastosować się nie da, ale dla jednej lub dwóch osób bezporównania taniej wypada życie w pensyonacie niż prowadzenie domu. To życie ma jednak zwykle z drugiej strony tyle wad i niewygód, że chroni się odeń kto może. Znam np. dwie kobiety—matkę i córkę, które odmawiają sobie wszelkich przyjemności—podróży, rozrywek, nawet kuracji, gdyż dom pochłania całe ich fundusze, na zapytanie zaś czemu raczej nie zamieszkają przy rodzinie lub w pensyonacie, odpowiadają wyliczeniem wszystkich niewygód. Kuchnia zwykle z początku możliwa staje się po dłuższym stołowaniu nieznośną, pokoje umeblowane bywają wprost operetkowe—bez żadnych absolutnie potrzebnych do życia sprzętów (z własnego doświadczenia znam dom, gdzie wynajmowano pokój „umeblowany,” bez łóżka i bez umywalni), duże pensyonaty, troszkę lepiej urządzone, są znów niesłychanie drogie, a wszędzie, choć trafi się możliwe co do wygód, przykrem jest to przebywanie w obcym domu, to uczucie braku własnego kąta.

I przeciw temu argumentowi trudno jest oponować, człowiek, któremu wypadnie chwilowo mieszkać u obcych lub w hotelu, może być, o ile tylko mu potrzebne z dnia na dzień wygody i miłe otoczenie, bardzo z locum takiego zadowolony, ale gdy stoi przed oczyma perspektywa pędzenia życia w ten sposób stale, przez długie lata, wtedy zmienia się ogromnie postać rzeczy i każdy marzy o swoim domu, każdy ten dom zakłada, nieraz kosztem nadmiernej pracy, zawsze niemal kosztem higieny, czystości i estetycznych względów życiowych.

Zagranicą rozwiązały ludzie powyższą kwestję na podstawie kooperatywy. Są domy, budowane współdzielczo, w których stowarzyszeni stają się właścicielami mieszkań tylko, nawet dużych kilku i kilkunasto-pokojowych, są także i kooperatywne pensyonaty, zwykle zakładane przez towarzystwa społeczne, są wreszcie i to w dużej liczbie takie, których jedynym celem zrzeszenia jest właśnie urządzenie domowego życia. Pierwsze miejsce w tym zakresie zajmuje Anglia, domów

takich jest tam olbrzymia ilość i jedne, przed drugimi silą się na rozmaite pomysły wygód, komfortu i estetyki. Pod Edyburgiem np. w Szkocji, jest Cottage jakiegoś stowarzyszenia panien, gdzie chciano koniecznie zachować w urządzeniu domu ulubione angielskie schody drewniane, tak istotnie wygodne i miłe wewnątrz mieszkania, dla uniknięcia więc niebezpieczeństwa pożaru zrobiono schody z pewnego gatunku cedru, sprowadzonego z Indyi, który tli się ośm dni zanim wybuchnie płomieniem.

U nas kooperatywy powstały bardzo niedawno, w tym czasie kiedy zaczęliśmy mieć możność swobodniejszego zrzeszania się, pomimo jednak tak krótkiego czasu, spółek spożywczych jest już dziś w Królestwie około 200, zawiązało się specjalne Towarzystwo Kooperatystów, mające własny organ tygodnik „Społem,” otwierają się kuchnie współdzielcze, a ostatnio powstała też myśl założenia takiego domu-pensyonatu, na podstawach kooperatywy.

Projektowane jest na początek wynajęcie lokalu z 16—18 pokoi (z tych 2 na salon i jadalnię), na 4tem piętrze z windą, w jednym z nowych domów przy ulicy ubocznej a niezbyt od środka miasta oddalonej, życie składać się ma ze śniadania rano, (kawy, kakao lub herbaty), obiadu (z zupy, dwóch mięs i deseru), oraz kolacji (z jednego mięsa, herbaty, pieczywa lub ciasta). Za pokój, życie, usługę, opał, światło i łazienkę projektowana jest opłata 45 rb. miesięcznie. O ile dwie osoby zajmą jeden pokój to koszt ich podwójnego utrzymania wyniesie wiele taniej.

Naturalnie z góry zastrzedz trzeba iż jest to zrzeszenie obliczone na udział ludzi zamożniejszych, kto zarabia 25 lub 30 rb. miesięcznie, urządzać się w ten sposób nie może, ale weźmy dla porównania koszt oszczędnego nawet mieszkania w umeblowanym pokoju, lub prowadzenia małego gospodarstwa.

Pokój „przy rodzinie” troszkę większy, bliżej środka miasta położony minimum 15 rb. miesięcznie, niby z opalem, ale bez światła, obiad lepszy, z 2 mięs, 50 kop., śniadanie o ile pić herbatę, można mieć za 10 dziennie, gdyż zwykle podają samowar lub wodę gorącą, jeśli jednak chcemy np. kawy, to już jest duża kwestja; kolację gorącą bardzo rzadko gdzie w domu dostać można, trzeba więc albo przynosić sobie i jeść wędliny, albo gdzieś na mieście wydać minimalnie 30 kop. Wypada więc: mieszkanie 15, obiad 15, śniadanie 3, kolacja 9, światło 2—4 ruble, bez łazienki, bez używalności saloniku, osobnej jadalni i z kłopotem myślenia: gdzie zjem kolację, czy też nie zapomnę dać jutro służącej na bułki, ale masło, które trzymam w garnuszku na oknie już się zestarzało!

A teraz kosztorys miesięczny gospodarstwa na 2 osoby.

Mieszkanie z 2-eh pokoi—bez wanny, z jednym wejściem, zwykle okropnie brudne, w środku miasta 28 rb., służąca 5 rb., życie na trzy osoby przeciętnie, oszczędnie 2 rb. dziennie, opał i światło, mydło do prania ścierki i prania dla służącej 10 rb., razem 103 rb. Zdaje się że cyfry są wymowne.

Nie potrzeba dowodzić, jaka czystość i estetyka może panować w mieszkaniu pensyonatu, jaka higiena w życiu, niema tu bowiem z niczyjej strony chęci zysku, niema właściciela, któremu by zależało na kupowaniu zbyt tanich produktów. Właścicielami są wszyscy, a zarząd powierza się osobie wybranej z pośród udziałowców, która w zamian otrzymuje darmo pokój i życie. Z pośród lokatorów każdy prenumeruje jakieś pismo—każdy ma książki, może więc łatwo powstać biblioteka i czytelnia, z czasem też tak jak w podobnych domach angielskich, sala gimnastyki, fechtunku, bilard i t. p., można również zorganizować kooperatywnie pomoc lekarską.

Jedyną rzeczą w obecnym projekcie tro-

chę trudną, są—udziały. Udział, czyli wpis do kooperatywy obliczono na 250 rb. Pensyonat przeznaczono głównie dla ludzi pracujących umysłowo: literatów, nauczycieli, otóż nie łatwo znaleźć na razie taką sumę i ponieść pewne bądź co bądź ryzyko—jest jednak i tu punkt wyjścia—kto ma meble do urządzenia pokoju, wnosi meble, zamiast udziału pieniężnego. Podług obliczeń, dom taki dobrze prowadzony przynosiłby jeszcze nadwyżkę w stosunku 4—5 procent, część której obróconą być by mogła na kapitał, na budowę własnego gmachu, reszta zaś rozdzieloną między stowarzyszonych, po odtrąceniu jeszcze pewnego procentu na cele społeczne, pomoc naukową, instytucje i t. p.

Z czasem, przy rozwinięciu się w mieście naszym komunikacji tramwajowej, dom taki stanąłby mógł w najhygieniczniejszych warunkach, dalej od środka miasta, wśród ogrodu, potworzyłoby się też mogły oddziały w różnych punktach, zawsze bowiem lepiej dobierze się towarzystwo wśród mniejszej liczby osób—i cyfra 18 do 20 lokatorów jest najdogodniejszą.

W ten sposób więc dla osób pojedynczych lub małych rodzin, dałoby się uzyskać życie domowe, wygodne, higieniczne, a pozbawione drobnych, codziennych kłopotów i udręczeń, które zwłaszcza dla ludzi umysłowo pracujących są wprost zabójczo denerwujące.

Bliższych informacji o projektowanym domu zasięgnąć można u pani Maryi Friemanowej (Aleje Jerozolimskie 43, m. 5 (między 5—6 po południu), u p. Teresy Wołowskiej-Prażmowskiej (Piękna 28, m. 15 (od 4 i pół do 6 ej po południu) i u p. Faustyna Czerwijowskiego Biblioteka publiczna, Rysia 1 (od 10-iej rano do 4 ej po południu).

N. J.



MARION. CHWILA.

(Ciąg dalszy).

II.

Huczała muzyka, w takt jej tupały liczne nogi. W wiejskim saloniku tańczono na zabój. Pomiędzy gośćmi z miasta byli oboje Komarscy, i naturalnie, Żelski.

Komarski najął wyborną dorożkę, która ich dostawiła na miejsce. Droga była wyśmienita, pogoda dopisywała. Komarska była dziś taka ładna, że Żelski, siedząc naprzeciwko niej przez cały czas podróży, zadał sobie niespodziewane pytanie:

— Co też ta kobieta za uczucie dla mnie żywi?..

Ale nie było czasu oddawać się rozmyśleniom. Chmurezyc rzucił się na nich z całą serdecznością amfitryona, dla którego ewangeliją jest, aby goście po powrocie do domu rozchorowywali się na żołądki z objędenia.

Po Chmurezycu nadbiegła żona, potem dwie uroczyste naiwności domu, wreszcie szóst klasista, Gabrys, z papierosem w ustach.

Najpierw ośliniono twarz i ręce pani Komarskiej, następnie panienki z nieklamanynek zachwytem wpadły na Żelskiego.

— Pan mecenas! pan mecenas! Ach, ja to dobrze! Tyle panien, tyle ładnych panienek dzisiaj!..

Pan mecenas ze stoickim uśmiechem na pięknych ustach wysłuchał szczebiotu dziewczęgo i skierował się do gabinetu pana.

— Proszę mecenasa — czynił honory domu Chmurezyc, — bardzo proszę... Gabryś, może ty ciśniesz tego papierosa, he? Ja byłem już chłopem pod wąsem, gdy brałem bizuny od nieboszczyka ojca! A dziś taki oto mleczak komin z gęby robi... a zwrócić uwagę, niech Bóg bron! obraza majestatu!

— Ojciec powinien się być urodzić przed Wielką Rewolucją... — odparł flegmatycznie chłopiec.

— Ja ci tu dam rewolucję! Widzicie, czego mu się zachciwa, smarkaczowi!

— Pan [studjuje? — zapytał pojednawczo Żelski.

— Ale, studjuje tam! — wyręczył syna ojciec. — Strajkuje! Nowe porządki zaprowadza! reformy!

— Bojkotujemy szkoły! — zwrócił się gimnazysta wprost do Żelskiego. — Póki nie zgodzą się na nasze żądania.

— Baki zbijamy, wałęsamy się po mieście, porządnym ludziom czas zabieramy.

— Uświadamiamy terminatorów i chodzimy po fabrykach.

— Mnie panie dobrodzieju w cegielni pobuntowali chłopca, musiałem pięć kopiejek na dzień postąpić...

— Sformowaliśmy żądania i już w trzech zakładach zmniejszono dzień roboczy, zaprowadzono szkoły, doktora...

— Skończycie na szubienicy wszyscy.

— To skończymy!

— Tylko daj Boże, żeby jak najprędzej, bo na nic zmarnieję. Kasztanka mi zajechał! Sztafety posyła do miasta, wici po kolegach.. Patrzcie go, generał!..

— Mamy silną organizację. Tak trzeba!

— Silnego kija wam potrzeba, nie organizacy! — krzyknął ojciec. — Nie biliśmy was i teraz wszystko złe się z tego legnie!

Wyszedł silnie zirytowany, trzaskając drzwiami.

Gabryś odrzucił teraz dyplomatyczną flegmę i z ożywieniem szóstoklasisty wyrzucał jednym tchem:

— Żeby to pan mecenas wiedział!.. Mysz się nie przeslizgnie, aby ujsć naszej czujności. Mamy szereg patroli — od miasta do mnie, i dalej jeszcze do Tarnawki, do Barcieszyna. Ot tu, na strychu, urządziłem sobie obserwatorium... widać [całą drogę, jak na dłoni... Niech tylko pokaże się jaki szpicel, wypuszczam gołębia i w chwilę potem wszyscy wiedzą.

— To pan i pocztę gołębią zaprowadziłeś?

— A jakże! Wacek Pręgiarz ma całą hodowlę i specjalnie je tresuje. Najtrudniej w samym mieście, ale tam mamy jedną porządną facetkę. Ale pan ją pozna. Chce ją pan poznać?..

Wyciągnął przemocą Żelskiego na taras, gdzie siedziała w cieniu młoda, jak się zdało osoba.

— Rysiu, to pan mecenas! ten nasz porządnym mecenas... A to kuzynka moja, Rysia Poryzka, studentka z Paryża!

— Czemuże zasłużyłem, panie Gabrysiu, na tyle pochwał?

— O, my pamiętamy, jak mecenas bronil Rogozika, powiesili go, ale to nic... Myśmy przysięgli wdzięczność mecenasowi, tylko, że nie chcieliśmy tego bardzo okazywać, żeby nas i was nie kompromitować.

Ach, więc to! Teraz Żelski przypomina sobie to głupie zajście! Raz, w sądzie zobaczył osmnastoletniego może wyrostka, siedzącego spokojnie w kącie. Zapytał, co tu robi. „Mam sprawę.“ — „A kto cię broni.“ — „Nikt.“

Przez jakiś odruch serca, litość czy kaprys podjął się obrony na poczekaniu.

Oskarżenie było ciężkie i groziło śmiercią. Żelski dowodził bezpodstawności zarzutu, powoływał się na niepełnoletność chłopca, nic nie pomogło. Pokłócił się z prokuratorem, nawymyślał sędziom, sprawa się zaogniła i groziła odpowiedzialnością obrońcy. Załogodziło się tylko, dzięki Komarskiemu... od tam jeszcze solennie przysięgł sobie nie unosić się sentymentalizmem.

Rysia przyglądała mu się, o ile można było dojrzeć w mroku.

— I ja panu dziękuję... — wyrzekła niskim, drgającym głosem.

Lekki, ciepły dreszcz przeszedł Żelskiego. Co za głos!

— Pani znała Rogozika?

— Kolegowaliśmy na pierwszym kursie... ale potem on rzucił i poszedł w lud...

— Pani tutaj zapewne czasowo?

— Korzystam z wakacji i pracuję społecznie... raczej wypełniam co mi przykazano... korzystając z pomocy kochanego Gabrysia.

Wyciągnęła rękę do kuzyna, on ją ucałował z nieklamany zapalem.

— Rysiu... dla ciebie...

Nagle zerwał się, wyteżył wzrok w kierunku dziedzińca.

— Sztafeta. Znaczą: „bacznosc.“

— Gołębie? o tej porze? — zdziwił się Żelski.

— Nie, wieczorami są race. O, widzi pani jedna żółta — znaczą „podejrzenie“ i dwie czerwone — ruch, krążenie, kołowacenie. Zaraz, muszę sprawdzić.

Wypadł bez czapki.

— Nieoceniony chłopiec... — uśmiechnęła się Rysia. — Tyle zapalu można mieć tylko w młodym wieku...

— A pani?

— O, ja jestem stara, bardzo stara!

Zadźwięczał wesoly śmiech młodzieńczy. Żelskiego ogarnął niby powiew ciepłego wiochru wiosennego.

— Jak ona się śmieje bajecznie!

— Nie mogę zaprzeczyć, póki pani nie zobaczę. Kryje się pani tak wstydliwie w cieniu...

Rysia wynurzyła na światło pociągła, jasną twarzyczkę, rozświetloną dwójgim piwnych oczu.

— No, to proszę mnie oglądać.

— Zaraz. Wszystko trzeba robić systematycznie.

— Ale bo pan się zabiera do tego, jak do jakiego dzieła z wstępem, z przygotowaniami...

Obracała się nieco zaploniona, bo wzrok Żelskiego tkwił uparcie w jej oczach. Przeszła na drugą stronę werandy. Dojrzał chód

jej lekki, posuwisty, wspaniałą budowę ramion, rasowe nóżki...

W salonie grzmiała wciąż muzyka.

— Szkoda, że pani taka stara... Takiego ładnego walca słyszę...

— Ale pan podobno nie tańczy?

— Któż mnie tak oszkalował?

— Toż kuzynki od rana mi w głowę kładą: mecenas, mecenasa, mecenasowi... takie rzadkie, świetne zjawisko w salonie... ale do tańca to go nikt już nie nakłoni...

— Teraz muszę przekonywać panią, wbrew swemu przekonaniu, że taniec lubię, że chcę tańczyć...

— W takich razach mówi się „w ogóle tańczyć nie chcę“, ale z panią...

— A więc dobrze. Tańczyć nie chcę... tylko z panią...

Objął ją bez proszenia, nieco porywczo.. Rysia zarumieniła się. Z przyjemnością pa trzył na ten świeży rumieniec, podobny do kwiatu jabłoni.

— Jakaż wrażliwa!

— Co widzę? Pan mecenas tańczy! — ucieszyła się w przejściu młodsza Chmurezycówna.

— Widzisz, Jadziu, złapałam sobie kawalera.

— Sądziłam, Rysiu, że wy studentki, myślicie tylko o nauce.

— Podczas roku szkolnego, ale teraz mam wakacje!

Zaśmiała się znowu, tym swoim pełnym, upajającym śmiechem. Tańczyła, jak syrena. I Żelski, choć wyszedł z wprawy, trzymał się jednak nieźle. Pojawienie się jego na widowni zrobiło niejaka sensację.

— Doskonale, mecenasie, — zachęcał Chmurezyc. — Do tańca i do różańca kawaler!

Panny przygotowywały się w skupieniu ducha. Lada chwila posadzi Rysię, a wtedy...

Ale on nie myślał posadzić Rysi.

— Póki się pani nie upokorzy i nie powie: „dosyć.“

— Nie upokorzę się i nie powiem „dosyć.“

— A więc jeszcze... jeszcze... jeszcze...

Tańczyli znowu, nie widząc nic, zapatrzeni oko w oko... w światła swych dusz... Rysia uśmiechała się nieświadomie do wysokiego, pięknego mężczyzny, o dojrzałym, a tak smutnym uśmiechu, Żelskiego ogarniało coś dziwnego, czego nie doznawał od tak dawna... Od tej dziewczyny bije fala świeżości, orzeźwienia... jakby była niezgłębioną krynicą duchowości...

Chmurezyc, zadowolony, że zabawa dobrze idzie, przechodził od gościa do gościa.

— A już to pani dobrodzieje szczególnie dzięki, że nam przywiozła mecenasa... Komarska rozmawiała w buduarze z paniami, zwróciła ku gospodarzowi strojną główkę...

— Co ja miałam z nim biedy, nim się zdecydował.

Panie uśmiechały się nieszczerze.

— Rzadki to ptak w salonie... ale za to prawdziwa ozdoba towarzystwa, gdy się rozochoci. A jak tańczy!

— Żelski tańczy?

— Wywija z Marysią, aż miło. Niech mecenasowa popatrzy.

Komarska wstała bardzo zdziwiona, trochę

dotknięta. Trzeba przecież zobaczyć, co się tam dzieje!

— Ha, krew nie woda, a Maryś, choć trochę ma przewróconą główkę, ale łąska dziewczyna, no i posażek nie najgorszy... — prawil Chmurcycze dobrodusznie, może nie bez szczypty złośliwości, którą lubią się posługiwać ludzie prawi, wobec nieco lewych sytuacji.

Walc skończył się.

Żelski wyprowadził Marynę na werandę, siadł obok niej.

Ogród był ciemny. W bezlistnych jeszcze gąszczach błędziły pierwsze podmuchy, szepty przedwiosenne. Spulchniona ziemia woniała... wypoczęta, gotowa do nowej twórczości.

Raptem w mrokach zapalił się snop płomienisty i rozsypał rojem iskier.

— Może to znaczy „miłość“?

— Niebezpieczeństwo się zbliża! — huknął Gabrys, krążący dokoła domu i popędził w mroki.

Rysia ogryzała powoli listki z róży doniczkowej, którą miała przy staniku.

— Miłość... miłość... Nie, nie, to za sentymentalne. Kiedyś tam, kiedyś, za sto lat...

Podniosła na niego promienne, wilgotne oczy.

— Rozumie pan... kiedy będą splacone wszystkie długi społeczne i wszystkie prace ukończone... kiedy dusza dojdzie do scharmonizowania ze światem.

Zaśmiała się swoim odrębnym, przepysznym śmiechem.

— Teraz nie mam czasu!

Gabrys wpadł przejęty, wzruszony.

— Idzie, idzie, tylko nie wiem, czy szpicel, czy baba, co roznosi listy, bo jedno i drugie znaczy „ważne nowiny,“ raca niebieska i zielona.

— A może to do Tarnawki? — zauważyła Rysia.

— A wiesz, że ty masz rację! Jesteś genialna, Rysiu. Tak tak, to napewno do Tarnawki i w takim razie znaczy „czekajcie na mnie z kolacją!“

A ja się tu niepotrzebnie niepokoję.

Pokłusował znowu do ogrodu.

Rysia powstała, patrząc mądrymi oczyma w głąb żrenie Żelskiego.

— Ja tam przyjdę do was, mecenasie, w mieście...

— Pani!...

— Potrzeba mi jakiegoś lokalu odpowiedniego, firmy... boć te dzieciaki dobre tylko do usług.

— Będę na panią czekał.

— Chętnie.

— Chętnie i... niecierpliwie.

Trzymał obie jej dłonie, zwolna podnosił je do ust...

— Mecenasie, szukam pana wszędzie! — zabrzmiało za nim nagle.

Żelski obejrzał się, wypuścił rączki Rysi.

— Pani Komarska chce już odjechać... — mówił Chmurcycze. — Napałała się i ani rusz. Ach, z temi paniami!...

— Pani Komarska?...

Żelski przez chwilę zbierał myśli, wracał zwolna do rzeczywistości. Ach tak, miasto, kolega Komarski, jego ładna żona... Wylęklemi oczyma patrzył na Rysię. Wiedziała wi-

dać, znała tę historię, bo jakoś smutno spojrzała na niego.

— Do widzenia pani tedy...

Na dziedzińcu w dorożce czekała już nadasana pani Komarska i mąż jej, zły, bo go oderwała od winta.

Na niebie zapłonęła różga szafirowa i zło ta i zapłakała deszczem światła.

— Szpicel idzie? — zapytał Żelski Gabrysia.

Chłopiec wskazał porozumiewającym wzrokiem ojca.

— „Czuwaj przez całą noc...“ — odrzucił wreszcie półgębkiem.

— Sowizdrzały! Psie figle! — indyczył się Chmurcycze. — Po niebie zachciało im się piścić... stogi mi jeszcze spala...

Dworek nabity światłami, trzęsący się od muzyki, znikł za drzewami...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zjazd kobiet polskich.



Sekcja ekonomiczna.

Pierwsze posiedzenie sekcji ekonomicznej odbyło się w dniu 11-ym Czerwca w sali Muzeum, wieczorem, pod przewodnictwem p. Zofii Sadowskiej z Petersburga.

Pierwszy zabrał głos p.:

S. Koszutski: „O równouprawnieniu kobiet z zakresu stosunków ekonomiczno-politycznych.“

Dzisiaj kobieta opłaca równe z mężczyzną podatki w dziedzinie przemysłu i handlu, nie korzysta jednak z równych praw na polu pracy. Mówca dotykał w rysie historycznym rozwoju tych praw w stosunku do kobiety i zaznaczył, iż równouprawnienie polityczne kobiet wywołałoby niejedną reformę w stosunkach ekonomicznych.

D-r Zofia Daszyńska-Golińska: „Kwestya kobieca wobec polityki gospedarczo-społecznej.“

(Referat odczytany przez przewodniczącą Zjazdu i przewodniczącą Sekcji d-ra Annę Tomaszewicz-Dobrowską).

Kobieta zapoczątkowała rolnictwo, rękodzieła i kunszt w epoce, kiedy mężczyzna zajęty był obroną od nieprzyjaciół i polowaniem.

Umysł kobiety nie jest pozbawiony pierwiastków twórczych, przytłumiały je tylko warunki życia: obowiązki domowe i macierzyńskie, nie sprzyjały rozwojowi ich kierunku kultury, oparty na pierwiastkach wojny i wyzysku, na przemoc, zgnieceniu, ujarzmieniu i użytkowaniu słabszych do własnych celów; właściwości jej fizycznej i emocjonalnej natury skazywały ją z góry na rolę ofiary przemocy i obiektu wyzysku.

Fizjologiczne procesy dla gatunku pierwszorzędnej doniosłości, troska o dzieci, które nosi, rodzi i wychowuje, horyzont myślowy kobiety zamykał się w kole rodziny i obronie jej od licznych wrogów zewnętrznych. Po za rodziną znała biednych, którymi zajmowała się, miłosierdzie chrześcijańskie, ponieważ nie

przedstawiały dla tego społeczeństwa groźnych współzawodników, ale dawały sposobność dobrych uczynków, torujących drogę do pozagrobowych szczęśliwości.

Natura i warunki życia odsunęły kobietę od roli twórczej i uczyniły ją bierną, niezadną wobec kultury, której nie tworzyła, której brak wielu pierwiastków, stanowiących treść kobiecej istoty.

Jako pracownicy, naznaczają jej zajęcia podrzędne, gorzej płatne, zależne — w fabryce, w pracy biurowej. W gospodarstwie wiejskim, na roli, gdzie każdy rodzaj pracy ma pewną samodzielność, stosunki stanowiska i płacy są mniej rażące, bo miarodajnym jest tu rodzaj użytkowania właściwości przyrody a w mniejszej mierze wyzyskanie pracy ludzi, kiej.

W nauczycielstwie warunki zarobkowania zbliżają się do równouprawnienia, różnice zależne już od uzdolnienia i fachowego przygotowania, a nie od płci.

Kultura wojny i wyzysku oparta na zasadach wolnej konkurencji, wzajemnego zwalczania narodów i klas, spotyka się przeciwzadaniem narodów, walczących o swe prawo do bytu, a wreszcie kobiecego świata, który dochodzi do świadomości swego upośledzenia i zaznacza, że pomijając go, społeczeństwa pozbawiają się pierwiastków humanitarnych, altruistycznych, które kobieta wnosić może w życie ogółu.

Referentka kładzie nacisk na przewagę sfery uczuciowości u kobiety, na jej wyższy altruizm który czyni ją dostępną humanitarnym i etycznym prądom. Gdzie kobiety doszły do praw politycznych, biorą w ręce sprawy opieki nad dziećmi, wychowania i wykształcenia, popierają rozwój prawodawstwa ochronnego, walkę z alkoholizmem, pełno ich w towarzystwach oświatowych, są rzeczniczkami zbratania ludu z inteligencją, stoją po stronie stronnictw wolnościowych, dostrojonych do tendencji demokratycznych.

Dopiero kultura demokratyczna na sprawiedliwości społecznej i humanitaryzmie oparta będzie terenem, na którym kobieta odnaleźć może pełnię sił swoich i stanie się twórczynią nowych wartości.

Hasłem ruchu kobiecego w zakresie zarobkowania, jest równouprawnienie we wszystkich istniejących dziś zawodach, dostęp do stanowisk zarówno kierowniczych, jak zależnych, zasada równej płacy za równą pracę. Dążenie to jest wielokrotnie nieosiągalne.

Na stanowiska kierownicze większe jest zapotrzebowanie sił męskich, np. we wszelkiem rzemiośle. Konieczność zarobkowania zmusza kobiety do tłoczenia się do każdej pracy w fabryce, rękodzielni, biurach, kantorach, na stanowiska zależne, źle wynagradzane, gdzie służą kapitałowi i są wyzyskiwane w charakterze telegrafistek, urzędniczek pocztowych i t. p., za bardzo niskie płace.

Praca bezmyślna, nużąca, ogłupiająca.

Ruch kobiecej, ideologia kobiecego świata i zawodowe jego dążności (godząc się na razie z tą koniecznością), dążyć powinien do stwarzania nowych dróg zarobku i pracy, odpowiadających kobiecej indywidualności, w których nie tylko dorównywać, ale przodować będą mogły mężczyźni.

Takie stanowisko w dziedzinie pracy stwarza prąd polityki gospodarczo-społecznej.

W zabiegach gospodarczych współzawodnictwo ustępować musi współdziałaniu, konkurencyjne zapasy zamieniają się w solidarność, prawa normują stosunek przedsiębiorców do robotników, a płace odpowiadają dawanej przez robotnika robocie.

Urzeczywistnienie tych dążeń wzięła na siebie polityka gospodarczo-społeczna, prowadzona przez państwo, miasta, gminy, stowarzyszenia i jednostki. Przeobrażenia zostaną dokonane dopiero wtedy, gdy obok pierwiastku twórczego, jakim był dotąd mężczyzna, wystąpi dostojny ruch kobiecy, świadomy korzyści swoich i ich zależności od kierunku ewolucji społecznej.

We własnym interesie stać się muszą inicjatorkami i rzecznikami społecznej solidarności, która słabych organizuje i broni.

W dziedzinie polityki gospodarczo-społecznej zorganizować całą produkcję rolną i przemysłową tak, aby na miejsce współzawodnictwa, weszło współdziałanie, wyrobienie solidarności wśród świata robotniczego, który domagać się powinien polepszenia bytu; bronić swoich praw i godności ludzkiej. Otoczyć opieką działość wszelakich stanów, zapewnić jej wychowanie i naukę, wytworzyć im moralne życie, podać wiedzę i dbać o zdrowie i rozrywkę, zabezpieczyć jutro i pomoc, przez kasy ubezpieczeń na wypadek choroby, wypadek nieprzewidzianego bezrobocia, niezdolności do pracy i na starość. Otoczyć opieką szpitale i więźniów, zorganizować opiekę nad ubogimi, któraby ich nie upokarzała.

Tworzyć domy ludowe i settlementy. Do tych dziedzin przybędą inne, przeobrażając stopniowo cały typ współczesnego życia, budząc samodzielność mas narodu, wspierając słabszych, zwracając grosz publiczny na cele użyteczne i dla ludzi zrozumiałe.

Że szeroko pojęta polityka społeczna to nie dziedzina wysiłków jednostkowych i dobrych czynów, ale nowy kierunek, który przede wszystkim dla świata kobiecego stworzyć może nieobliczone pola pracy użytecznej, wymaga nowych ludzi, którzyby je kształtowali i z nimi współdziałali. Kobiety doskonale się tu nadają. Chodzi o pracę żywą, stykanie się z ludźmi warstw różnych, zrozumienie ludu i jego potrzeb, umiłowanie młodego pokolenia, współczucie z ubogimi i chorymi, wykolejonymi. Humanitaryzm, dobroć, cierpliwość, poczucie sprawiedliwości, delikatny takt, nie mniej potrzebne od fachowej, rozumowej wiedzy. Nabywać ją za pośrednictwem szkół, kursów specjalnych, któreby teoretycznie i praktycznie wyszkoliły przyszłe pracownice, obudziły w nich zrozumienie zjawisk społecznych i ów zmysł społeczny, który każe czynnie nad przeobrażeniem społeczeństwa pracować. Zakładać fachowe szkoły dla dziewcząt, któreby je wykształciły w zakresie rolnictwa, ogrodnictwa, mleczarstwa, hodowli inwentarza, organizować kursy przygotowawcze do pracy socjalnej, jak w Niemczech i Anglii, domy ludowe, kasy pomocy, szkoły, kursy dla kobiet wiejskich i miejskich, z nauczycielkami i kierowniczkami, wyrównywać braki prawodawstwa ochronnego i zapewnić ubezpieczenie przyszłości każdemu pracowni-

kowi, to interes nie tylko społeczny, lecz i narodowy, bo naród, którego klasy pracujące giną zaniedbane i opuszczone, musi być parçasem wśród narodów kulturalnych.

Otwiera się pole nowe, obszerne, na którym pracę setek i tysięcy zużytkować będzie można. Kobiety mogą zająć miejsca urzędników w biurach "pośrednictwa pracy, kasach dla chorych, urzędach ubezpieczeniowych, administracji więzień, szpitali, przytułków, ochron, przewodniczyć settlementom, kierować kooperatywami wszelkiego rodzaju, być instruktorami włościan w dziale rolnictwa, sadownictwa, warzywnictwa, hodowli bydła, drobiu.

Mogą zająć stanowiska instruktorek fabrycznych i inspektorek rzemieślniczych. Ileż to szkół różnego typu wprowadzić przyjdzie, gdy fachowa wiedza w różnych zakresach stanie się koniecznością dla wiejskiego ludu.

Dążyć do ustanowienia zakresu polityki gospodarczo-społecznej.

Domagać się organizacji wszystkich dziedzin pracy w stopniu dotychczas nieznanym, a pobudzającym energię warstw najszerzych i ich samodzielność. Otoczyć je siecią instytucji, które typ samego życia przeobrażą i zdemokratyzują do gruntu.

Dla kobiet będzie to drogą najlepszą dla zaznaczenia swego wpływu i nadania życiu nowych wartości, kobieta stanie się człowiekiem nie dającym się zastąpić przez mężczyznę.

L. Krzywicki: „Prawa, rządzące zarobkiem kobiet.“

Mówca w rzeczowym odczycie wyjaśniał prawa, rządzące pracą w ogólności, pracą zaś kobiet w szczególności.

Rozwój przemysłu nowoczesnego umożliwił kobiecie działalność zarobkową pozadomową. Imiała się łatwego zarobku głównie kobieta, mająca zapełnione utrzymanie całkowite lub częściowe w domu męża lub rodziców. Zarobek powinien być pokryć jedynie niedobory w budżecie domowym. Okoliczność ta zaważyła na poziomie wynagrodzenia robotnic, czyniąc je o 25%—50% niższymi od zarobków mężczyzny. Nizki ten poziom zarobków sprawił, że kobieta tłumnie zapełniła fabryki i warsztaty, *she-towns* (babie miasta) w Stanach Zjednoczonych. W miarę wzrostu liczby kobiet, te niskie zarobki, wystarczające kobietom, mającym oparcie w domu, nie mogły dać utrzymania tym kobietom, które żyją jedynie z własnej pracy. Stąd połowiczna prostytutka wielkomięjska, jako źródło utrzymania. Dalsze konsekwencje. Środki podwyższenia zarobków: związki zawodowe.

Melania Koziarska: „O reformie gospodarstwa domowego.“

Przedstawiwszy potrzebę radykalnych reform w dziedzinie zajęć domowych w gospodarstwach wyłącznie spożywczych, gdzie praca polega na przetwarzaniu gotowych produktów, prelegentka szkicuje szereg nowszych pomysłów i wynalazków, służących do ułatwienia i upraszczenia w życiu domowym wskazań higieny i postępu.

Zakończenie stanowić będzie obraz życia w rodzinie, gdzie funkcyjne służebne przekaza-

ne zostały instytucjom współdzielczym, zaspakajającym potrzeby materialne za pomocą sił fachowych i odpowiednich maszyn i gdzie kobieta staje obok mężczyzny, jako podobna jemu siła wytwórcza.

W. Wojciechowski: „O kooperacji.“

Wielką doniosłość „kooperatywów“ w wyzwoleniu kobiety podniósł p. Wojciechowski, wskazawszy zarazem, że działalność w kooperatywie stanowi niejako właściwy kobiecie teren pracy i przysposobi ją do przyszłej działalności w samorządzie.

W dyskusji i tym razem zdarzył się dysonans.

Skutkiem interpelacji jednej z mówczyń z grona publiczności, p. Szymańskiej, o nieuwzględnieniu w Zjeździe, w dostatecznej mierze, robotnic—na sali powstała wrzawa, która jednak bez dalszych konsekwencji w końcu się uciszyła.

Przedewszystkiem p. Szymańska uczyniła osobom, urządzającym Zjazd, zarzut, że nie zaprosiły szerszych sfer robotniczych. Potem przedstawicielka akuszerki oświadczyła publiczności, że prezydium ze względów formalnych odrzuciło ich referat w kwestyi bardzo palącej. Po złożeniu odpowiednich wyjaśnień przez pp.: d-ra Tomaszewicz-Doborską i Sadowską, zabrała głos p. Reinschmit-Kuczalska w sprawie wyjaśnień, czemu nastąpiło obniżenie wynagrodzeń pracownic, udających się na rzekome ferie letnie do domów obywatelskich, co podkreśliła p. Szymańska, oraz p. Landbergowa.

Najwięcej wrzawy wniosła p. Chmielińska, zaleciwszy kobietom z inteligencji rozpoczęcie demokratyzacji od samych siebie i przekazawszy prezydium wniosek, aby kobiety, zebrane na Zjeździe, zobowiązały się, na zasadzie swego uświadomienia społecznego, dążyć całą siłą do podniesienia warunków ekonomicznych kobiet, z których pracy korzystają, do bezwarunkowego unikania wyzysku ich sił, słowem, aby zobowiązały się moralnie do zaprowadzenia w życiu idei równouprawnienia.

P. Arct-Golczewska, omawiając dalej kwestyę nielicznego stawienia się na Zjazd robotnic, zaznaczyła, że stało się to głównie dlatego, że robotnice widocznie nie chciały uczestniczyć w Zjeździe, bo gdyby tylko chciały, toby mogły.

Przemówieniami pp. Tomaszewicz-Doborskiej i Arct-Golczewskiej w sprawie słuszności postępowania osób, urządzających Zjazd kobiet, zakończono pierwsze posiedzenie sekcji ekonomicznej.

(Dokończenie nastąpi).

z.



Warunki pracy kobiet w Warszawie.



KWIACIARKI.

Jedną z gałęzi przemysłu, w którym u nas przeważnie pracują kobiety, jest zawód kwaciarski.

Wielkich fabryk kwiatów zatrudniających więcej, niż 50 pracownic, mamy w Warsza-

wie zaledwie dziesięć, natomiast pracowni mniejszych zatrudniających 5—10 pracowników, liczy Warszawa około 150.

Ogólna liczba robotnic trudniących się wyrobem kwiatów, dosięga około 1,600; w tej liczbie prawie 30% żydówek.

Warunki sanitarne, w których pracują kwaciarki, są okropne, kwiaty wyrabiają się z białego fularu (półjedwab) lub batystu. Materiały te muszą być farbowane farbą anilinową i spirytusem drzewnym. Oba te preparaty bardzo szkodliwie oddziałują na zdrowie.

Żeby kawałkom fularu, lub batystu, nadać formę listków kwiatów żywych, trzeba je prasować specjalnymi żelazkami i karbować nagrzanymi rurkami. Przy tej robocie nie podobna ochronić palców od oparzenia i z tego powodu kwaciarki zawsze mają poranione palce.

W ostatnich czasach niektórzy fabrykanci kwiatów wprowadzili prasy automatyczne, przy pomocy których prasowanie i karbowanie listków odbywa się w sposób mechaniczny, praca jest więc znacznie lżejsza, ale prasy automatyczne są tylko w 2-ch czy 3-ch większych fabrykach, a we wszystkich mniejszych fabrykach i pracowniach prasowanie i karbowanie odbywa się starym sposobem—ręcznie.

Większa część fabryk i pracowni kwiatów mieści się w suterenach, gdzie powietrze jest prawie zawsze wilgotne i stęchłe; gdy z tem powietrzem zmiesza się jeszcze ostry zapach farb anilinowych i spirytusu drzewnego, zaduch powstaje wprost zabójczy. Nic więc dziwnego, że pośród kwaciarek przypada taki znaczny odsetek chorych piersiowo. Sutereny, w których mieszczą się fabryki i pracownie kwiatów są pozbawione nie tylko zdrowego powietrza, lecz posiadają także bardzo mało światła. We wszystkich pracowniach przez cały dzień palą się lampy, konieczne potrzebne zresztą do nagrzewania drucików do karbowania kwiatów. Ciągła praca przy lampach również bardzo źle oddziałuje na wzrok robotnic.

Przy zbieraniu materiałów do niniejszego artykułu referent sprawdził, że na 10 kwaciarek 3—4 cierpi na oczy.

Dzień roboczy, który w fabrykach kwiatów liczył 15 godzin, zmniejszony został, po ostatnich strajkach ekonomicznych, do 10 godzin, ale norma ta przestrzegana jest tylko w wielkich fabrykach, w których zawsze znajduje się kilka robotnic uświadomionych, dzięki czemu fabryki te są pod kontrolą organizacji robotniczych. W mniejszych atoli pracowniach (przeważnie na krańcach miasta) kwaciarki pracują jak dawniej, po 12—15 godzin dziennie.

Płaca za tę ciężką i niebezpieczną dla zdrowia pracę jest bardzo niska; przez pierwszy rok robotnica musi pracować darmo, jako terminatorka, na drugi rok dostaje 3 rub. miesięcznie. Do 15 rubli miesięcznego zarobku kwaciarka może dojść dopiero po 10 latach pracy. Według moich obliczeń, w znanych, największych fabrykach z górą 50% wszystkich robotnic zarabia mniej niż 6 rub. miesięcznie, 30% zarabia od 6 do 10 rubli, pozostałe zarabiają od 10 do 15 rub. miesięcznie (przeważnie po 12 rubli). Od 15 do 18 rub. miesięcznie zarabia nie więcej niż 2% wszystkich pracownic.

W mniejszych zakładach płaca jest taka sama, jak w większych, a czasem nawet większa, ale praca w małych zakładach ma tę wadę, że mniejsze zakłady nie zatrudniają pracownic przez cały rok, lecz tylko przez 7—8 miesięcy, t. j. przez t. zw. sezon.

Przyczyna tego, że mniejsze fabryki i pracownie kwiatów nie mogą być czynne przez cały rok, jest następująca: kwiaty sztuczne są towarem podlegającym kaprysom mody paryskiej, kolory i modele które w jednym

roku są modne, na drugi rok mogą być przestarzałe.

Wyrabiać towar na zapas, nie mając wyraźnych wskazówek co do mody przyszłego sezonu, jest bardzo ryzykowne. Większy fabrykanci, którzy mogą ponieść koszty nakładu, zawczasu jadą do Paryża (na zimowy sezon nie później niż w Maju, na letni—nie później niż w Listopadzie) i tam za dobre pieniądze nabywają modele nowych mód, co daje im możność bezzwłocznie, po skończeniu zimowego sezonu przystępować do wyrobu towarów na sezon letni i t. d. Fabrykanci nie mogą sobie pozwolić na kosztowną jazdę do Paryża, muszą czekać na rozpoczęcie sezonu, kiedy modele można dostać już w Warszawie i pomiędzy jednym sezonem a drugim muszą robić przerwę 2-ch lub 2½ miesięcy, co bardzo ujemnie wpływa na stan zarobków zatrudnionych w mniejszych fabrykach kwaciarek.

Ostatnie zmiany warunków pracy ręcznej, nie bardzo przyczyniły się do poprawy bytu kwaciarek. Rozrzuczone po wielkiej liczbie drobnych pracowni, zbyt trudne są do należytego zorganizowania. Polepszyć byt udało się właściwie tylko robotnicom, trudniącym się wyrobem liści sztucznych, zarobek ich powiększył się po strajkach o 30% i więcej, ale liściarki stanowią nie więcej niż 10% ogółu kwaciarek.

Przyznać trzeba, że wśród kwaciarek bywają także szczęśliwe wyjątki. Cała wartość kwiatu sztucznego polega na tem, aby był jaknajpodobniejszy do naturalnego. Jeśli więc wśród kwaciarek znajdzie się pracownica odznaczająca się wyjątkowym uzdolnieniem i smakiem artystycznym, i jeśli umie przytem tak zastosować cienie, że kwiaty wydają się jak żywe, to może zarobić do 100 rubli miesięcznie i więcej.

Rozumie się, że takie wypadki wydarzają się stosunkowo bardzo rzadko, to już nie rzemiosło, lecz sztuka. Takich szczęśliwych kwaciarek-artystek jest bardzo mało, a wyjątek reguły nie stanowi.

L. P.

Sztuka i literatura zagraniczna.

* W dniu 31-ym Maja 1909-go roku przypada setna rocznica śmierci Józefa Haydna, który żył i działał w Wiedniu, którego prochy jednak spoczywają w kościele parafialnym w Eisenstadt. Książę Mikołaj Esterhazy bowiem, u którego Haydn pełnił obowiązki kapelmistrza, zabrał w roku 1820-ym jego zwłoki z opuszczonego grobu na cmentarzu wiedeńskim i pochował go z wielką okazałością w swoich dobrach Eisenstadt w kościele. Obecnie magistrat wiedeński czyni starania u rodziny książąt Esterhazy o zezwolenie na zabranie zwłok Haydna z Eisenstadt, gdyż chce je pochować w honorowym grobie na cmentarzu centralnym obok popiołów Beethovena i Schuberta. Jeśli rodzina Esterhazy zgodzi się na to, to przeniesienie zwłok na cmentarzu wiedeńskim odbędzie się w setną rocznicę śmierci, t. j. w roku 1909-ym, albo też 27-go Kwietnia 1908-go, jako w setną rocznicę pierwszego wystawienia jego nieśmiertelnej kompozycji p. t. „Stworzenie.“ Z tej okazji dzienniki przypominają niektóre szczegóły z życia Haydna, zwłaszcza z jego lat młodych. Był on tak biednym, że

mieszkał na poddaszu w domu przechodnim koło kościoła św. Michała, a w pokoiku jego nawet nie było pieca. Przez cały dzień biegał po lekcjach, wieczorami zaś grywał w orkiestrach, a nieraz najmował się do grania i na całą noc. Mimo to zawsze znalazł czas do ćwiczenia się w kompozycji. Lekcyi udzielał początkowo po dwa guldeny miesięcznie, później, gdy imię jego było już bardziej znane, płacono mu po pięć guldenów miesięcznie.

* Znany autor wielu powieści i dziesiątek nowel, Salvator Farina, obchodził w Rzymie czterdziestoletni jubileusz pisarski. Jego „Signor Jo,“ „Tra le corde d'un contrabasso,“ „Tante di Picche,“ doczekały się tłumaczenia na wszystkie europejskie języki. Farina urodził się w roku 1846-ym w Sardynii, obecnie przebywa częścią w Medyolanie, częścią w Lugano. Jako człowiek cieszy się ogromną u ludzi miłością. Niedawno Farina dotknięty był chorobą zapominania nazwisk i wyrazów; wyleczywszy się, pisze nowelę na ten temat p. t. „Ostatnia bitwa księdza Augustyna.“ Ostatnią powieścią Fariny jest: „Tajemnica lodowców.“

m. l.

— Od jednego ze słuchaczy Uniwersytetu Fryburskiego otrzymaliśmy z prośbą o ogłoszenie list następujący:

Szanowna Redakcyo!

Celem zapobieżenia nieporozumieniom w sprawie przyjmowania maturzystów szkół polskich do uniwersytetów szwajcarskich,—posyłam źródłowe wiadomości, które uprzejmie proszę zamieścić w swem poczytnym piśmie.

Uniwersytety szwajcarskie a szkolnictwo polskie.

W dniu 25-ym Lipca odbyło się we Fryburgu szwajcarskim zebranie komisji dyrekcji naukowej kantonu fryburskiego, poświęcone sprawie maturzystów szkół polskich.

Dięki umiejętnym staraniom organizatora tej sprawy, prof. Kowalskiego zapadły uchwały treści następującej:

Szkoły polskie Królestwa podzielono na dwie kategorie: a) takie, które miały przedtem już prawa rządowe; a utraciły je w czasach ostatnich; b) szkoły nowopowstałe.

I. Ze szkołami pierwszej kategorii o pełnym programie szkół średnich dyrekcya naukowa kantonu Fryburskiego zawrze z każdą oddzielnie tego rodzaju układ: Fryburg, po rozpatrzeniu programu szkolnego ewentualnie uzna matury tych szkół narówni z maturami szkół kantonu swojego, inaczej mówiąc, ulegalizuje je w kantonie swoim, o ile przełożony danej szkoły podpisze zobowiązanie, że o każdorazowej zmianie programu nauk zawiadomi dyrekcję naukową kantonu fryburskiego. Po za tem dyrekcya fryburska zastrzega sobie prawo wysłania delegata dla zwiedzenia szkoły, ewentualnie dla asystowania przy ostatecznych egzaminach w szkole. Do tej kategorii zalicza się oprócz filologicznych także szkoły handlowe i realne; maturzyści tych ostatnich, o ile zechcą zapisać się na fakultety prawny lub filozoficzny, obowiązani będą w ciągu trzech semestrów złożyć w uniwersytecie dodatkowy egzamin z łaciny.

II. Maturzyści wszystkich innych szkół polskich, których programy specjalna komisya dyrekcji naukowej Fryburga uzna za równoznaczne z programami szkół kantonu fryburskiego, będą przyjmowani do uniwersytetu

Kursa wyższe dla Kobiet

im. A. Baranieckiego

istniejące od roku 1868

z trzema wydziałami: literackim, przyrodniczym i artystycznym.

Początek roku po raz trzeci nie od 15-go ale od 1-go października.

Programy przesyła za zwrotem tylko kosztów pocztowych księgarnia W-go Gebethnera w Warszawie. Korespondencje kursów załatwia sekretarka H. Tomaszewska w Krakowie, ulica Karmelicka L. 36.

Dyrektor Józef Rostafiński.

MOZAJKI artystycznej i INTARSYI KURSY I PRACOWNIA WSPÓLNA 47^A m. 3.

Pracownia przyjmuje obstalunki z zakresu meblarstwa, dekoracji ściennej i galanterii.

Kurs roczny obejmuje mozaikę drzewną, metalowe z kości słoniowej, perłowej masy i szyldkretu.

← 3 Medale Złote →

Niema zimnych i wilgotnych mieszkań

jeśli obsadzić w piecu

MULTYPLIKATOR OGRZEWANIA

Pat. Gasselseder & Niemczek i Kłobukowski

ogrzewa pokój w 30 min. do samej podłogi, OSZCZĘDZA do 50% opał
PIECE ŻELAZNE MULTYPLIKATOROWE nie wydzielają smędu, utrzymują ciepło 8 g. po napaleniu

Pochlebne zaświadczenia, prospekty i cenniki mult. wysyła się na żądanie
Tel. 1502. Biuro Techniczne Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. chem. Al. Jerozol. 71

Zarząd Stowarzyszenia „Szkoły Współdzielczej”

zawiadamia, że w 7-mio klasowej szkole handlowej żeńskiej

A. Werekkiej (Foksal 18)

egzaminu dla nowowstępujących rozpoczyna się dnia 3-go września o godz. 10 rano, lekcje zaś dnia 10-go września o godz. 9 rano. Kancelarja szkoły otwarta codziennie od godz. 12-jej do 2-jej popołudniu.

Zakład Karola Schulza

Naukowy Męzki

w Warszawie, ulica Ś-tej Barbary № 10.

Przyjmuje chłopców od lat 7-miu bez umiejętności czytania i pisania i przysposabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych.

Szkoła posiada najnowsze pomoce naukowe i kładzie główny nacisk na pogłębienie nauki.

Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do pogłębionego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

W internacie szkolnym jest kilka wolnych miejsc.

Zapisy przyjmuje się codziennie od 9-jej do 3-jej.

Lekcje rozpoczynają się 4 września.

7-kl. Zakład Naukowy Żeński Antoniny Walickiej 44. KRUCZA 44.

Przytem szkoła początkowa zastępująca klasę podwstępną. Zapis od 20-go sierpnia od 11-jej do 1-jej. Egzamina wstępne 2-go i 3-go września o godzinie 10-jej rano. Rok szkolny rozpoczyna się 4 września.

W VII-klasowym z językiem wykładowym polskim zakładzie naukowo-wychowawczym żeńskim z pensjonatem i klasą wstępną

ANNY JASIEŃSKIEJ

Warszawa, ul. Hr. Berga 8.

Zapis uczennie rozpoczyna się 20-go sierpnia. Kurs nauk 5-go września
Egzaminy wstępne 3-go i 4-go.

LIST OTWARTY do p. Plato v. Reussnera w Warszawie, Złota 6.

Ucząc się niemieckiego języka, próbowałem rozmaitych podręczników i nauczycieli, ale rezultaty nauki były marne, prawie żadne. Dopiero z porady nauczyciela, p. Tews, rozpocząłem na nowo naukę przy pomocy Pańskiego „Samouczka”, z którego nauczyłem się po niemiecku, a potem po angielsku nadzwyczaj łatwo i prędko. Dzięki więc znajomości niemieckiego i angielskiego języka, dostałem tu w Ameryce, bardzo korzystne zajęcie, o jakie się napróżno kuszają moi koledzy, nieumiejący tych dwóch języków. Wydatek na książki zwrócił mi się z tysiącnym procentem. Zatem uważam „Samouczek” Pański za najlepszy podręcznik w Europie i Ameryce, który cenę tysiąc razy wyżej, niż złoto i brylanty, bo te może łatwo ukraść złodziej, a „Samouczek” i wiadomość z niego nabyta jest niewyczerpanym źródłem skar-bów bezpiecznych przed złodziejami i rabusiami.

LEOPOLD KUZWA.

Toledo, Ohio, 224 Colburn-Str., Ameryka Półn. Dnia 16-go Lipca 1905 r.

Pierwszorzędne Biuro Nauczycielskie

KARPIŃSKIEJ

POLECA: nauczycieli, nauczycielki, bony francuzki, niemki, angielski.

Warszawa, Moniuszki 7.

KUPUJĘ BRYLANTY,

ZŁOTO, SREBRO I KWITY LOMBARDOWE

HENRYK JUWILER

Nowy-Świat 59, 1-sze piętro front. Tel. 5528.

Sprzedaję Biżuterję: Srebro okazyjne. Kontentuję się małym zyskiem, bo w mieszkaniu.

Biuro Jahołkowskiej

poleca nauczycieli, nauczycielki od 250—1000 rub. Francuzki od 200—600. Bony polki, niemki od 120—250.

Warszawa, Nowo-Jasna 8.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca: nauczycieli, nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki.

WARSZAWA

Świętokrzyska 20.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

MARYI NOWORYTO

Warszawa, Nowogrodzka 28
poleca nauczycielki, bony, cudzoziemki.

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu jest do nabycia w administracji

„Bluszczu.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za
powyższe dzieło

tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Ważne dla mających chore nogi!!!

Pracownia Form i Prawideł Męskich i Damskich
Fasonów Najnowszych

Teodora Parolewicza

Warszawa, Podwale 26

(naprzeciw Hotelu Sławiańskiego).

Poleca dla Sz. PP. cierpiących na odciski formy do obuwia, prawidła do butów i kamazy oraz maszynki do rozbijania obuwia, które wykonywa solidnie na czas oznaczony i po cenach bardzo umiarkowanych.

Robota gotowa na składzie.